

*Maria Dahvana Headley to prawdziwy fenomen:
jest piekielnie bystra, a przy tym wrażliwa i kapitalnie pisze.*

NEIL GAIMAN

MAGONIA

MARIA DAHVANA HEADLEY



Maria Dahvana Headley "Magonia" - fragment

MAT

Rozdział 1

{AZA}

Moje życie to szpital.

Tak zwykle mówię, kiedy chcę się wydać zarazem zabawna i irytująca, czyli dość często.

Łatwiej jest mieć gotową odpowiedź, niż dać się wciągnąć w rozmowę przez kogoś, kto okazuje udawaną sympatię, udawaną troskę czy też udawane zainteresowanie. Moja ulubiona metoda to: zażartować, zrobić na wpół przepraszającą, na wpół odstraszającą minę i po pięciu sekundach mieć tę rozmowę z głowy.

Aza: W zasadzie to nic poważnego. Nie przejmuj się. Ja tylko często bywam w szpitalach.

Osoba pytająca: Ee... Hmm... Oj, przykro mi to słyszeć. Ale zaraz, cieszę się. Mówisz, że właściwie nic ci nie dolega! To świetnie!

Aza (odstraszająca mina się wyostreza): Naprawdę miło, że pytasz.

W podtekście: To nie jest miłe. Daj spokój.

Potem już zwykle nie zadają więcej pytań. Na ogół starają się być uprzejmi. Nie bardzo sprawdza się to wobec rodziny, ale przypadkowo napotkane osoby? Nauczyciel na zastępstwie, który nie wie, czemu kaszlę i muszę wyjść z sali – a potem iść do gabinetu lekarskiego i wykonać telefon na pogotowie, żeby zabrano mnie z powrotem do mojej sterylnej białej ojczyzny?

Takie osoby nie chcą mi przypominać o tym, co według nich sama dobrze wiem. Pewnie, że wiem. Nie daj się oszukać. Nie myśl też, że ja dam się oszukać.

To nie jest jak w Małych kobietkach. Beth i ta jej słodka, słabowita Beth-skość zawsze wywoływały u mnie odruch wymiotny. To, jak wszyscy wyobrażali sobie, że nie umrze. To, jak ona ewidentnie umierała. W takich historiach w chwili, kiedy ktoś postanawia owinąć cię kocem, a ty się słabo uśmiechasz, już nie żyjesz.

Wniosek z tego taki, że staram się nie uśmiechać słabo, nawet gdy czuję się słabowicie, co oczywiście mi się zdarza (jawnie i w ukryciu). Nie chcę się zamienić w nieszczęsną otulaną kocem inwalidkę.

Już nie żyjesz, pif-paf. Zamknij oczy i idź spać.

Tak na marginesie: inwalida. Kto wymyślił to słowo, które mówi „bez wartości, bez znaczenia”? To musiał być niezły drań.

No więc tak, kwestia śmierci regularnie pojawia się w mojej obecności. Dorośli nie lubią o tym mówić. W zasadzie ja też tego nie lubię. Ale moi rówieśnicy to co innego.

Im aż się oczy zapalają na dźwięk słowa ŚMIERĆ, ŚMIERĆ, ŚMIERĆ, jakbyśmy wszyscy siedzieli w samochodach, które powoli jadą autostradą i mijają roztrzaskane auta na poboczu. To jakaś chora obsesja.

Niektórzy z nas – ci, którzy naprawdę umierają – może są tym mniej zafascynowani niż inni.

Niektórzy może woleliby nie słuchać, jak ciągle gada się o śmierci celebrytów, w najróżniejszej postaci: a to przedawkowanie, a to wypadek, tajemnicze załamanie...

Moi rówieśnicy lubią się roztkliwiać i z przesadnym dramatyzmem rozwodzić nad tym, że osoby w tym wieku nie powinny umierać. Wiem, co mówię. Wiem, co mówię, bo od lat jestem tą dziewczyną, którą dobrze znałem i która pewnego dnia tragicznie zmarła.

Co nie znaczy, że już umarłam. Ciągle jestem tutaj. A cała ta artystyczna gotycka otoczka to zwykle chrzaniecie.

Dorośli dużo mniej mówią o śmierci niż ludzie w moim wieku. Śmierć to taki Święty Mikołaj

w świecie dorosłych, tyle że na odwrót. Gość, który zabiera wszystkie prezenty. Z dużym workiem na plecach wchodzi do komina i ze wszystkim, co wydrze człowiekowi z jego życia, odlatuje ciągnięty przez renifery. Jego sanie są wyladowane wspomnieniami i kieliszkami wina, garnkami, swetrami, kanapkami, chusteczkami higienicznymi i SMS-ami, brzydkimi kwiatkami doniczkowymi i łaciatymi kotami, na wpół zużytymi szminkami i brudnymi ubraniami, których nie zdążono uprać, listami, które zostały ręcznie napisane, ale nigdy nie wysłane, aktami urodzenia, zerwanymi koralami i jednorazowymi stopkami przetartymi od wizyt w szpitalu.

I notatkami, które trzymałaś na lodówce.

I zdjęciami chłopaków, w których się bujałaś.

I sukienką, którą włożyłaś na imprezę, kiedy jeszcze tańczyłaś o własnych siłach i byłaś w stanie oddychać.

Do tego, prawdopodobnie, choć nie warto się nad tym rozwodzić, ten Mikołaj zabiera im duszę czy coś takiego.

Zresztą dorośli i tak nie wierzą w Świętego Mikołaja. Bardzo też się starają nie wierzyć w Odwrotnego Świętego Mikołaja.

W szkole cała ta sytuacja z zagrożeniem-w-postaci-rzadkiej--choroby sprawia, że wzbudzam zainteresowanie jak diabli. W rzeczywistym świecie nie jest z tym łatwo. Zmartwiony wygląd, bum, smutny wyraz twarzy, bum: „Może porozmawiasz z kimś o tym, co czujesz, Azo” i na dokładkę gadki typu może-pomoże-Bóg-terapia-antydepresanty.

Czasami jeszcze może-pomoże-uzdrowiciel-może-zioła--może-kryształ-może-joga? „Azo, czy próbowałaś jogi? Bo wiesz, to pomogło temu znajomemu znajomego, który już umierał, ale nie umarł dzięki pozycji psa z głową w dół”.

Nie, nie próbowałam jogi, bo joga nie wyleczy mojej choroby. Moja choroba to Tajemnica i to nie taka zwykła, ale bermudzka, jak ten trójkąt.

Niezrozumiała. nierozwiązywalna.

Co rano zażywam garść leków, chociaż nikt nie wie na pewno, co mi właściwie dolega. Przez to jestem taka wyjątkowa.

Wyjątkowa jak badania krwi i te wszystkie rurki, które rozpychają mi gardło. Jak tomografy, rentgeny, USG i tysiące wymazów, z których nie wynika żadna jasna diagnoza.

Wyjątkowa jak moja choroba, która stoi w smokingu na scenie i wyśpiewuje rzewną piosenkę z refrenem: „Chodź, kochana, tyś jedyna mi pisana”. A potem sterczy tam i czeka, aż padnę jej w ramiona i przestanę się opierać.

Wyjątkowa, bo do tej pory jestem jedyną osobą na ziemi, u której zdiagnozowano to cudeńko.

Może to brzmi przesadnie. Nie. Moja choroba jest tak rzadka, że nazwano ją zespołem Azaraya.

Od mojego imienia: Aza Ray Boyle.

To już prawdziwa perwersja. Nie chcę mieć sobowtóra w postaci choroby, nie chcę dziwacznej nieśmiertelności w świecie przypadków medycznych, co znaczy, że studenci medycyny będą powtarzać moje nazwisko przez setki lat. Nikt MNIE nie pytał o zdanie, kiedy publikowano w czasopiśmie „Nature” artykuł, w którym nadano tej chorobie moje imię. Odmówiłabym. Wolałabym sama nadać jej nazwę: „dupek” albo coś brzydkiego, jak Elmer czy Clive.

Wszystkie te tematy, śmierć i umieranie, to rzeczy, o których w zasadzie nie lubię rozmawiać. Nie jestem przygnębiona. Tylko spieprzona. I to odkąd pamiętam. Nie ma takiej wersji mojego życia, która nie jest spieprzona.

Tak, wolno mi używać tego słowa, jeśli mam ochotę, i robię to. Mam wielką ochotę kłąć. To ja w tym ciele, dziękuję, powyginana, pochrzaniona, bez żadnych szans na zmianę, więc nie ma co się zajmować czymś, czego i tak nie da się naprawić. Jestem surową, jeszcze nieulepszoną wersją prawdziwej żywej dziewczyny, a w każdym razie tak mówię, kiedy mam ochotę pogadać i nie chcę zajmować się akurat tym, tylko przejść do ciekawszych tematów.

Jasne, wiem, że nie wyglądam dobrze. Nie, nie musisz się czuć niezręcznie. Wiem, że chcesz pomóc. Ale nie możesz. Wiem, że pewnie jesteś miłą osobą, ale daruj sobie. Naprawdę nie chcę o tym gadać z obcymi.

Jakie są fakty? Podstawowe wiadomości o Elmerze/Clive'ie/ dupku/zespole Azaray? Muszę przebywać w pomieszczeniach bez kurzu. Tak było niemal od zawsze. Kiedy się urodziłam, byłam zdrowa i teoretycznie doskonała. Prawie dokładnie rok później ni stąd, ni zowąd moje płuca przestały rozumieć się z powietrzem.

Pewnego dnia moja mama weszła do pokoju i znalazła mnie w stanie dziwnego ataku. Ponieważ moja mama jest moją mamą, miała na tyle przytomności umysłu, że metodą usta-usta wdmuchnęła mi powietrze do płuc. Podtrzymywała mnie tak przy życiu, póki nie zabrali mnie do szpitala. Tam utrzymali mnie – ledwie – przy życiu za pomocą maszyny do oddychania. Dali mi leki i robili różne rzeczy, żeby zmniejszyć gęstość powietrza. To mi nawet pomogło.

To znaczy bardzo pomogło, zważywszy na fakt, że wciąż tu jestem. Tylko nie pomogło dostatecznie. Na początku bardzo długo – miałam wrażenie, że całe wieki – sypiałam w skorupie pełnej plastiku i rurek. Moje życie to otwieranie oczu w pomieszczeniach, w których nie zasypiałam, dotyk ratowników na moim ciele, czerwono-białe światła i wycie syren pogotowia. Tak już jest, jeśli jest się tą jedyną, która żyje z Clive'em.

Wyglądam dziwacznie i mój organizm pracuje dziwacznie, i wszyscy zawsze reagują, jak, hmm, jakby nigdy nie widzieli czegoś takiego. Zmiany na całym ciele, wewnątrz, na zewnątrz – wszędzie z wyjątkiem mózgu, który, jak każdy może stwierdzić, działa normalnie.

Te wszystkie żałosne zaburzenia równowagi chemicznej w mózgu? Nie, to nie ja. Nie budzę się ogarnięta paniką, nie nachodzi mnie ochota na takie rzeczy jak odgryzanie sobie palców czy upijanie się do nieprzytomności. W ogólnym rozrachunku, posiadanie mózgu, który na ogół wykonuje polecenia, to już coś.

Poza tym jestem Aza-Wystawa. Jestem jak Światowa Wystawa Osiągnięć. (Pragnę jedynie, PRAGNĘ JEDYNIE, żeby odbyła się Światowa Wystawa Niedociągnięć, najlepiej w którymś z miast w pobliżu mnie. Gabloty pełne rozczarowań, wielkie eksponaty pokazujące nieudane projekty. Nie wystawa typu O-Boże-Jaka-Przyszłość-Będzie-Wspaniała, ale wręcz przeciwnie. Żadnych latających samochodów. Samochody pełzające jak gąsienice).

Staram się nie przejmować swoją chorobą, ale ona ma wielką siłę perswazji. Kiedy chwyta mnie w swoje szpony, brak tchu potrafi zwalić mnie na podłogę, gdzie miotam się i świszczę jak ryba wyciągnięta z dna jeziora. Czasem myślę, że chciałabym wrócić na to dno i zacząć tam wszystko od nowa. Coś nowego.

W sekrecie, a właściwie tylko w półsekrecie – bo czasem wypowiadałam to na głos – myślę, że nie miałam być człowiekiem. Nie funkcjonuję prawidłowo jako człowiek.

Teraz mam prawie szesnaście lat. Bez jednego tygodnia.

Pielęgniarka szkolna: Jesteś prawdziwym cudem! Jesteś naszym cudem!

Aza Ray Boyle: (odgłosy rzygania)

Ponieważ wciąż żyję, myślę o zorganizowaniu imprezy. O to chodzi w szesnastych urodzinach. O ten czynnik wielkiego wydarzenia. Wszystko się zmienia i nagle należysz do tego świata, masz na sobie różową sukienkę, całujesz fajnego chłopaka albo wykonujesz jakieś popisy taneczne.

Żeby było jasne: tak jest w filmach. A w tym życiu? Nie wiem, co się wydarzy. Nic, o czym chciałabym myśleć.

Kogo bym zaprosiła? WSZYSTKICH. Z wyjątkiem tych, których nie lubię. Znam wystarczająco dużo osób, żeby określić grupę znanych jako wszystkich, ale lubię spośród nich może pięć czy sześć osób, maks. Mogłabym zaprosić lekarzy i wtedy moja grupa radykalnie by się powiększyła. Kilka dni temu powiedziałam o tym rodzicom i teraz się zastanawiają, uwzględniając przy tym moje dyskusyjne podejście do sprawy. Jak zawsze zresztą.

Ale przecież spójrzmy na to w ten sposób: czy nie byłoby gorzej, gdybym była doskonała? Moje braki sprawiają, że wzbudzam mniejszą litość.

Nikt z nas nie lubi imprez urodzinowych. Wszyscy w domu się denerwują. Nawet kwiaty w doniczkach wyglądają na zdenerwowane. Mamy taki jeden, który się zwija. Nie wolno mu być ze mną w jednym pokoju, ale czasami go odwiedzam i dotykam, a on się wtedy kurczy. Teraz też jest zwinięty w małą kulkę liści i pędów, jakby opędał się przed intruzami.

Łapiesz?

Opędza się pędami? (Ha, ha. Ale śmieszne). Liceum. Pierwszy dzwonek. Idę korytarzem. Mijam milion szafek. Jestem spóźniona. Nie mam usprawiedliwienia, poza tym jednym, co zawsze.

Unoszę pięść, żeby przywitać żółwikiem Jasona Kerwina, też spóźnionego, który nie wita się ze mną spojrzeniem, tak jak i ja nie patrzę mu w twarz. Tylko pięści. Znamy się, odkąd mieliśmy po pięć lat. Jest moim najlepszym kumplem.

Jason to wyjątek od wszystkich reguł, które mają zapewnić spokój moim rodzicom. Nadrzędną z nich jest: nie zadawać się z żadną ludzką istotą inną niż oni, bo nikt inny nie zapewni mi bezpieczeństwa. Jason jednak zna wszystkie możliwe procedury postępowania w nagłych wypadkach.

Dlatego może mi towarzyszyć w miejscach, do których moi rodzice nie chcą chodzić. Może nawet by poszli, ale nie uśmiecha im się spędzanie tam wielu godzin. Oceanaria, muzeum historii naturalnej, wystawy owadów i wypchanych zwierząt, antykwariaty, w których musimy wkładać maski, jeśli chcemy czegoś dotknąć, ciasne pomieszczenia pełne niezwykłych kolekcji motyli, kości i modeli ciała ludzkiego, o których istnieniu dowiedzieliśmy się z internetu.

I tak dalej.

Jason nigdy nie mówi o śmierci, chyba że ma to związek z jakimiś makabrycznymi informacjami, których akurat szukamy w internecie. Aza Ray i Wielkie Fiasko Jej Fizyczności? Nie, Jason nie zniża się do takiego poziomu.

Drugi dzwonek, ja nadal w korytarzu, unoszę ten właściwy palec i pokazuję go Jenny Green. Różowe pasemko we włosach, łokcie ostrzejsze niż sztylety, obcisłe džinsy, które ceną mogą się równać z całkiem niezłym używanym samochodem. Jenny ostatnio mnie wkurza. Nie tylko tym, że istnieje, wredna żmija. Prowadzimy cichą wojnę. Szkoda na nią słów w tym momencie, chociaż kilka dni temu obrzuciła mnie sowitą wiązaną wyzwisk. Przeżywać chorego? No proszę. Wszyscy wiemy, że to nie w porządku.

Właściwie to w jakiś sposób szanuję ją za ten wyskok. Trzeba mieć jaja, żeby zrobić coś, na co nikt wcześniej się nie odważył. Ostatnio rozeszła się wieść, że wyglądam jak wygłodzony, żądny krwi duch dziewczynki z japońskiego horroru, więc Jenny pojawiła się w szkole z twarzą posypaną białym pudrem i z niebieską szminką na ustach. Oczywiście, żeby zakpić sobie ze mnie.

Jenny uśmiecha się i posyła mi zdmuchniętego z dłoni całusa nasączonego trucizną. Przechwytuję go i odsyłam jej bardzo dzisiaj sinymi wargami, co przejmuje ją zgrozą. Udaję przy tym, że się duszę. Jeśli już mam uchodzić za dziewczynę widmo, to czemu nie obrócić tego na swoją korzyść? Jenny gromi mnie wzrokiem, jakby mi zarzucała nieczyste zagranie, i rusza biegiem do sali.

Kręcę się trochę przy szafce. Idę dalej powoli. Zaglądam do mijanych klas przez szyby osłonięte metalową siatką, którą wstawiono po to, by tacy jak ja nie szpiegowali takich jak oni.

Moja młodsza siostra Eli wyczuwa mnie na odległość i podnosi głowę znad książki do matematyki.

Wygłupiam się przez chwilę w korytarzu – wymachuję rękami, wygrażam pięściami, tak wolna i nieskrępowana jak nikt inny o tej porze dnia. Przywilej chorej. Eli przewraca oczami, a ja idę dalej. Kaszlę tylko trochę; da się wytrzymać.

O siedem minut spóźniona wchodzę do klasy i pan Grimm unosi brew. „Jak zwykle spóźniona Aza Ray”, mawia o mnie; i tak, on naprawdę nazywa się Grimm. Oczy ślepego nietoperza, okulary w grubych oprawkach, cienki krawat jak u hipstera, co mu zdecydowanie nie pasuje.

Pan Grimm ma imponujące mięśnie – nigdy nie podciąga rękawów, ale jego ramiona prężą się, jakby chciały rozerwać ubrania, a to mi mówi, że nie ma prawdziwego życia, tylko miota się między zawodem nauczyciela a popijaniem koktajli proteinowych.

Wygląda, jakby jego miejsce było wśród wuefistów, ale kiedy otwiera usta, zamienia się w typowego nerda. Podejrzewam też, że ma tatuaże, które próbuje ukrywać na różne sposoby. Korektor maskujący. Długie rękawy. Niezbyt to rozsądne wydziergać sobie na ciele jakąś czachę / statek / gołą babę. Potem ciągle trzeba pamiętać o zapinaniu mankietów.

Pan Grimm przyszedł do szkoły w tym roku. Dość młody, o ile można tak powiedzieć o trzydziestolatku. Ale mnie najbardziej intryguje jego tatuaż. Nie wiem dokładnie, co przedstawia, bo jakoś nigdy nie udało mi się go zobaczyć w całej okazałości.

W każdym razie ja też chciałabym mieć tatuaż. Najlepiej, żeby był jeszcze straszniejszy niż Grimma, cokolwiek on tam ma.

On stale zrzędzi, że stać mnie na więcej i że lepiej wykorzystywałabym swój potencjał, gdybym uważała na lekcjach, zamiast trzymać głowę w książce. Nie powinien narzekać, bo jestem jedną z... może czterech osób w szkole, które czytają książki.

Tak, wiem, że to oklepany frazes. Ale naprawdę lubię czytać. Zabij mnie. Mogłam dodać, że wychowałam się wśród książek i były one moimi jedynymi przyjaciółmi, ale tego nie zrobiłam, nie? Bo mam litość. Nie jestem ani geniuszem, ani dzieckiem, którego misją jest zostać czarodziejem. Jestem tylko sobą. I lubię czytać. Książki nie są moimi jedynymi przyjaciółmi, ale żyjemy ze sobą w przyjaźni. I tyle.

Nie muszę uważać na lekcji pana Grimma. Już to czytałam, cokolwiek omawiamy, teraz akurat Starego człowieka i morze.

Facet z obsesją. Wielka ryba. Mnóstwo epickich niepowodzeń. Ciekawe, od ilu pokoleń katuje się uczniów opowieściami tego typu.

I po co? Kto z nas walczy albo będzie walczył z rybą gigantem? Jaki to ma sens?

Przeczytałam Moby Dicka, kolejną wariację na temat Gościa z Obsesją, Wielkiej Ryby i najróżniejszych kategorii smutku i utraconych złudzeń.

Wiem, wiem, wieloryb to nie ryba. Ssak z rzędu waleni. Mimo wszystko wieloryby od zawsze były inspiracją Opowieści o Wielkich Rybach, co świetnie pokazuje, jak bardzo ludzie zawsze się myślą. Przeczytałam nawet te rozdziały Moby Dicka, których nikt nie czyta. Mogłabym ci zrobić cały wykład na temat oprawiania wielorybów, ale wierz mi, nie chcesz tego wszystkiego wiedzieć.

No, niech pan mnie spyta o Moby Dicka, panie Grimm. Śmiało. Czekam.

Zrobił to raz, jakiś miesiąc temu, bo mi nie wierzył, że to czytałam. Wygłosił mi wtedy godną parlamentarzysty przemowę o przeciwnościach losu, alegoriach, oceanie i pogoni za nieuchwytnymi marzeniami, co później się przekształciło w dość bezpardonową wymianę zdań na temat filmów o piratach, stosowanych przez nich kar (takich jak chodzenie po pirackiej desce śmierci), a nawet na temat astronautek. Pan Grimm był pod wrażeniem, a jednocześnie się wkurzył. Zarobiłam dodatkowo plus, którego nie potrzebowałam, i karę za bezczelność. Musiałam zostać w szkole po lekcjach, ale prawdę mówiąc, należało mi się.

Spoglądam na Jasona Kerwina, pogrążonego w jakiejś książce. Rzucam okiem na tytuł. Johannes Kepler: Sen, czyli wydane pośmiertnie dzieło poświęcone astronomii księżycowej. Książka wygląda na stary, zużyty egzemplarz biblioteczny w twardej oprawie. Na okładce duży fragment powierzchni księżyca.

Nic mi to nie mówi.

Wysuwam rękę w jego stronę i wyrywam mu książkę, żeby przeczytać to, co na skrzydełkach.

Pierwsza powieść science fiction, napisana w latach dwudziestych XVII wieku. Astronom opowiada historię podróży na Księżyc, przemycając w treści obronę teorii kopernikańskiej. To jego sposób na poruszanie tego tematu bez ryzyka kary za herezję. Dopiero później ludzie zrozumieli, że wszystkie fragmenty opisujące świat fantazji to w zasadzie kod, za pomocą którego Kepler prezentuje prawa astronomii.

Przerzucam kartki. Jest latająca czarownica z innego świata.

Super. To książka dla mnie. Właściwie to coś, co sama chciałabym napisać. Interesuje mnie wszystko, co zawiera wymyślone języki i tajemnice. Chcę być szyfrantem. Co, oczywiście, nie znaczy, że się na tym znam. Jestem – jak by to dawniej powiedziano – „entuzjastką”. A może hobbystką.

Dowiaduję się, ile mogę, na dany temat, w ciągu powiedzmy kwadransa internetowych poszukiwań, a potem już tylko z entuzjazmem to powtarzam.

Dlatego ludzie myślą, że jestem mądrzejsza od nich. To mi pozwala robić, co chcę, w spokoju, bez przejmowania się obcymi i wysłuchiwanie ciągłych pytań o moje zdrowie. To takie drobne korzyści ze stworzenia mitu uważanego przez wszystkich za fakt.

– Oddaj – szepcze Jason.

Pan Grimm posyła w naszą stronę groźne spojrzenie.

Zastanawiam się, jak uspokoić rodziców w kwestii moich urodzin. Zdaje się, że oni mają już w głowach wizję imprezy: dzieci szalejące na rolkach, clown, tort i balony. Tak to wyglądało, kiedy kończyłam pięć lat.

Wtedy nikt nie przyszedł oprócz dwóch dziewczynek zmuszonych przez matki i Jasona, który zjawił się bez zapowiedzi. Nie dość, że nieproszony przeszedł piechotą ponad półtora kilometra, to jeszcze był w kostiumie: kompletnym stroju aligatora, w którym występował w Halloween. Nie pofatygował się nawet, żeby powiedzieć mamom, dokąd idzie, więc wezwały policję, przekonane, że został porwany.

Kiedy samochody policyjne zajechały przed tor wrotkarski i funkcjonariusze weszli do środka, od razu było jasne, że Jason i ja zostaniemy przyjaciółmi. Jeździł akurat w stroju aligatora, ciągnąc za sobą długi zielony ogon i wykonując zgrabne piruety, kiedy kazano mu się pokazać.

Tamta impreza nie była taka zła.

Jednak teraz, na szesnaste urodziny, wymyśliłam coś lepszego i właśnie rysuję to w notesie: martwy clown, ogromny piętrowy tort, z którego wyskakuję, wielki balon podróżny, który zjawia się nade mną na niebie. Z jego kosza zwisa lina. Wspinam się. Odlatuję. Na zawsze.

Ile bólu by to zaoszczędziło? Sporo. Nie chodzi o ból martwego clowna, który ginie niezgodnie z własnym planem, ale mój własny.

Pan Grimm słyszy moje parsknięcie.

- Czy raczysz się z nami podzielić tym, co cię tak wzburzyło, Azo?

Czemu oni zawsze używają tego wyrażenia? Wszyscy poza mną są zajęci pisaniem testu. Podnoszą teraz głowy, zadowoleni z usprawiedliwionej chwili przerwy. Jason uśmiecha się pod nosem. Nic tak nie przyspiesza upływu czasu jak drobna awantura.

- Naprawdę chce pan wiedzieć? - pytam, bo dzisiaj staram się nad sobą panować. - Myślałam o umieraniu.

Patrzy na mnie z irytacją. Używałam już tego na jego lekcji. To wspaniała wymówka. Nauczyciele topnieją jak śnieg na wiosnę, gdy tylko z tym wyjeżdżam. Muszę przyznać, że nawet lubię pana Grimma, bo mnie przejrzał. Co znaczy, że naprawdę patrzy, a to już samo w sobie jest dziwne. Nikt nie patrzy na mnie tak dokładnie. Wszyscy obchodzą się ze mną jak z jajkiem. Ta plastikowa bańka, w której żyłam, gdy byłam mała? Wciąż tu jest, choć teraz jej nie widać. I teraz jest wykonana z czegoś twardszego niż plastik.

- O umieraniu w kontekście którego utworu literackiego? - pyta. Nie ma litości.

- Może Burzy? - mówię, bo to tytuł lektury, która nas jeszcze czeka. Wszystko w tym semestrze wiąże się z oceanem. - Utonięcie bliźniaków.

- Utonięcie bliźniaków, którzy właściwie wcale nie toną, pojawia się w Wieczorze trzech króli, a nie w Burzy - oświadczają. - Zagraj jeszcze raz, Ray.

Żałosne. Teraz już jestem zupełnie zbита z tropu.

- Zagraj to jeszcze raz, Sam - mówię, bez pozwolenia używając imienia pana Grimma. Potem stosuję swoją tradycyjną metodę: wykorzystać jeden fakt, który każe im myśleć, że wiesz wszystko.

Z Wikipedii można się dowiedzieć mnóstwa takich dziwnych ciekawostek. - Ale to jest błędny cytat - dodaję. - Właściwie Bogart mówi tylko „Zagraj”, ale do powszechnej świadomości weszło to w trochę zmienionej wersji, która brzmi bardziej romantycznie, a nie jak rozkaz.

Grimm wzdycha.

- Czy ty w ogóle widziałaś Casablanke? Jeszcze dziesięć minut do końca testu. Na twoim miejscu zająłbym się odpowiedziami na pytania. I nie nazywam się Sam, ale Samuel. Tylko ci, którzy mnie nie znają, mówią do mnie Sam.

Wygrał, bo ma rację. Nie widziałam Casablanki. Znałam tylko ten cytat i związaną z nim ciekawostkę. Poddaję się więc i chwytam za długopis, żeby popływać ze starym człowiekiem i marlinem.

Samuel. Kto dzisiaj daje dziecku na imię Samuel? Mam ochotę wtrącić jakąś uwagę na temat pseudonimów: Samuel Clemens jako Mark Twain i jego Życie na Missisipi, które ostatnio czytałam, ale rezygnuję. Nasza poprzednia wymiana zdań zamieniła się w brutalny pojedynek, a teraz coś

w moich piersiach każe mi wątpić, czy zdołam się pojedyńkować bez kaszlu.

Na zewnątrz rozszalała się burza, drzewa uderzają gałęziami o okna. Żaluzje furkoczą jak oszalałe, bo cały budynek jest stary i pełen przeciągów.

Jason rzuca mi liścik na ławkę. Pan Grimm jest wyczulony na punkcie telefonów, więc stosujemy stare proste techniki. „Kałamarnica olbrzymia. Jutro o piątej. U ciebie”, czytamy.

Planowaliśmy obejrzeć to nagranie kilka dni temu, ale tak się rozkaszałam, że musiałam iść do szpitala. Prawdziwy nefart.

Znowu musieli mnie przebadać i kiedy się obudziłam z narkozy, powitało mnie to znajome spojrzenie lekarza mówiące: „Ła... nigdy czegoś takiego nie widziałem”.

„Mutant”, nabazgrałam w notesie, który mi dali, na wypadek gdybym chciała się na coś skarżyć. Lekarz popatrzył na mnie i po chwili się roześmiał.

– Nie – powiedział. – Jesteś wyjątkową młodą damą. Nigdy jeszcze nie widziałem takich strun głosowych. Mogłabyś być śpiewaczką.

„Gdybym mogła oddychać”, napisałam, a on okazał tyle przyzwoitości, by się speszyć.

Jason nie obejrzał filmu o kałamarnicy beze mnie. Próbował przekonać personel szpitala, żeby to włączyć na sali, ale pielęgniarki nie pozwoliły. One tam są nieugięte.

Wracając do oceanu i podwodnych olbrzymów: ten film to pierwsze w dziejach nagranie kałamarnicy olbrzymiej pływającej w swoim środowisku naturalnym. Wyobraź sobie to niewiarygodne stworzenie o wyglądzie wodnego potwora z gałkami ocznymi wielkości ludzkiej głowy, z ciałem i mackami długimi na jakieś osiem metrów. Prawie jak szkolny autobus. A teraz pomyśl, że nikt do tej pory nie widział jej poruszającej się w głębinach. To bliskie cudu, a skoro taka kałamarnica istnieje, to może jest też coś podobnego w Loch Ness? Może wszędzie są takie rzeczy, o których nie mamy pojęcia? Może jest... nadzieja?

Bo za każdym razem, gdy ktoś odkrywa nowe zwierzę albo coś zdumiewającego, to dowodzi, że jeszcze nie wiemy wszystkiego.

Do tej pory istniało tylko nagranie martwej i bardzo chorej kałamarnicy olbrzymiej, ale pewien naukowiec opuścił się w specjalnym aparacie, znalazł jedną i sfilmował.

Jakiś znajomy Jasona włamał się do komputerów Woods Hole, organizacji oceanografów z Massachusetts, i cztery dni temu ściągnął ten film z serwera. Od tej pory Jason nie przestaje o tym opowiadać.

Patrzę w jego stronę i uśmiecham się, ale on już jest pochłonięty swoją książką. Opuszczam głowę, żeby zająć się testem, a wtedy nagle mój wzrok pada ponad akwarium z iguaną, za szybę i dalej na niebo, gdzie coś się dzieje.

Widzę to tylko przez sekundę, ale wydaje mi się dziwnie znajome, jakbym o tym śniła albo widziała to na obrazku.

Maszt. I żagiel.

Więcej żagli: dwa, trzy. Jak na wielkim statku. Duże, białe, powiewające. I oto z burzy wyłania się dziób okrętu.

Który...

Miewałam wcześniej zwidy, ale nigdy czegoś takiego. Niedawno czytałam coś o obrazach w powietrzu, nazywanych fatamorgana.

Ktoś kiedyś przez pół godziny widział Edynburg wiszący na niebie ponad Liverpooliem. Ale skąd pochodzi odbicie tego... tego statku? Jesteśmy na kontynencie. Daleko w głębi łądu.

Wyciągam rękę i szarpie za rękaw pana Grimma. On patrzy na mnie z irytacją. Wskazuje.

Obraca się w tę stronę i przez moment się nie porusza, wpatrzony w okno. Potem zdejmuje okulary i spogląda jeszcze raz.

– A niech to – mówi.

– Co? – pytam. – Pan to widzi? Czy pan też to widzi?

Potrzęsa głową.

– Burza – mówi i opuszcza żaluzje.

Kiedy żaluzje sięgają parapetu i sala na powrót staje się zwykłą salą, słyszę gwizd, długi i piskliwy.

Niedokładnie gwizd. Więcej niż gwizd.

A ściśle mówiąc: o wiele więcej niż gwizd.

- Aza - odzywa się ten dźwięk. - Aza, jesteś tam?